

Tyrowicz, Marian

Moje prasoznawstwo

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 23/1, 85-109

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MARIAN TYROWICZ

MOJE PRASOZNAWSTWO*

Pewnego wiosennego wieczoru zabrzączał telefon w moim pokoju. Było to w 1957 r. Podniosłem słuchawkę:

— Mówi Jan Kalkowski z „Przekroju”, pański słuchacz z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych. Panie profesorze, mamy pewną propozycję...

— Kto i jaką?... — zainteresowała mnie ta sprawa. — Czy chodzi o jakiś artykuł?

— Nie, panie profesorze, chodzi o rzecz na dłuższą metę... Organizujemy w Krakowie ośrodek prasoznawczy, brak nam historyka i liczymy przede wszystkim na pański udział i pomoc...

— Owszem! Historia prasy interesuje mnie nie od dzisiaj...

— Cieszymy się bardzo, panie profesorze, i prosimy na zebranie organizacyjne... Pragniemy pana prosić o kierownictwo sekcji historycznej...

Ustaliliśmy miejsce i termin spotkania i z serdecznym „do miłego spotkania” położyliśmy słuchawki na widelki telefonów. Tak zaczęła się moja przygoda w prasoznawstwie i jako historyk wkroczyłem w nową sferę badań. Czy nową? Chyba o tyle, że zorganizowaną w grupie o dość nietypowym zestawie: dziennikarzy, naukowców, literatów i ludzi praktycznie, ale nie piórem związanych z prasą. Ciekawemu czytelnikowi zapewne ciśnie się pytanie: jaki był rodowód tego niecodziennego zaproszenia — naukowy czy towarzysko-akademicki z uwagi na me wykłady dla dziennikarzy sprzed kilku lat?

No, żółtodziobem w badaniach prasy nie byłem.

Wspominałem już nieraz o mojej inicjacji w dziennikarstwie akademickim, w zakresie zaś publikowania o szeregu moich skromniejszych i obfitszych rozpraw z dziejów prasy, a także biografiami mego pióra poświęconych świetnym nazwiskom na tej niwie. Przecież w 1933 r., kiedy ząbkowało polskie prasoznawstwo głównie na terenie Warszawy, a o naszym dziennikarstwie głucho było w świecie, opublikowałem w

* Tekst stanowi część b. obszernych wspomnień rodzinnych i osobistych Autora — Red.

amerykańskim kwartalniku, i to w odległym od największych środowisk naukowych Nowego Świata — w Iowa, pierwszą chyba informację o historii i stanie ówczesnym prasy polskiej: *Journalism in Poland* („Journalism Quarterly”, 1933, nr 1). Jako badacz i wykładowca akcentowałem zawsze znacząco funkcjonalność publicystyki i dziennikarstwa w życiu społecznym. Nadto nikt z inicjatorów zebrania nie wiedział, że od kilku lat gromadziłem materiały do „historycznego katalogu prasy polskiej” i zbierałem kilkaset tytułów, ustalając daty i miejsca ukazywania się pism, nazwiska ich redaktorów i specyfikę; zbiór ten w stanie początkowym zakupił ode mnie prof. Karol Estreicher — wnuk „wielkiego Karola”, założyciela *Bibliografii polskiej* — jako pomoc przy reedycji wiekopomnego dzieła dziadka.

Pierwsze omówione posiedzenie odbyło się w jednym z pokoi krakowskiego Oddziału Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” przy ul. Wiślniej; daty dokładnej nie pomnę. Spotkali się tu przedstawiciele „starej prasy” z nowicjuszami, ale pierwsze to grono było szczupłe: Jan Lankau, Jan Pelczarski i Stanisław Peters z koncernu Mariana Dąbrowskiego pod szyldem „IKC”, kijowsko-warszawski dziennikarz Stanisław Garztecki, z młodych: Jan Kalkowski, Edmund Król (kierownik oddziału RSW „Prasa”), Jerzy Koszałek (jego prawa ręka), Ignacy Krasicki, Irena Tetelowska i kilku zupełnie początkujących, m.in. Władysław Kobylański, Tadeusz Bednarski i Sylwester Dziki. Padły pierwsze projekty (formalnie inicjatywę prasoznawczego zespołu w Krakowie zaakceptowało warszawskie prezydium RSW „Prasa” już w 1956 r., wiążąc ją nie tyle z mało czynnym tutejszym oddziałem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, co właśnie „z rozkwitającą” prasą Polski Ludowej). U typowych dziennikarzy z profesji i zamiłowania, jak się niebawem przekonałem, pasji do studiów nad prasoznawstwem nigdy nie było i chyba nie będzie. Nie żyli już pierwsi propagatorzy prasoznawstwa właśnie z branży dziennikarskiej: Stefan Gorski, Stanisław Jarkowski, Władysław Wolert. Tak też dopiero po dziesięciu latach od narodzin Polski Ludowej wykłuły się pierwsze jaskółki prasoznawstwa — najpierw w Warszawie, następnie pod Wawelem. Ciekawe, że akuszerami tych porodów byli nie sami dziennikarze, a naukowcy zainteresowani formami i procesami „masowego przekazu informacji”: socjologowie, historycy, bibliografowie, nawet ekonomiści i prawnicy. Omawiane spotkanie na III p. przy ul. Wiślniej wprawdzie jeszcze tak szerokiego grona nie reprezentowało, ale już pierwsze głosy i odgłosy tej inicjatywy zapowiadały rozkwit szybki i wielokierunkowy. Nie zamierzam tu dawać zarysu historycznego tej ząbkującej u nas dyscypliny, więc pomijam szereg szczegółów wcześniejszych i późniejszych od jej krakowskich narodzin. Ale muszę podkreślić, że obecność starego dziennikarza z ambicją historyka, Jana Lankaua, i nieco odeń młodszego historyka z zainteresowaniem prasoznawczym, tj. mojej osoby, ukierunkowała decyzje pierwszego „areopagu” na Wiślniej.

M.in. przedstawiłem zebranym mój pogląd na wagę badań historyczno-prasowych w powstającym Ośrodku. Na najbliższych posiedzeniach zapadły uchwały: powołanie do życia czterech „sekcji”: historii prasy (pod moim kierunkiem), prasy współczesnej (pod Ireną Tetelowską), techniki wydawniczej (pod dr. Stanisławem Petersem) i socjologicznej (pod ręką mgr. Władysława Kobylańskiego)¹. Postanowiono wydawać na razie w tzw. małej poligrafii „Biuletyn Prasoznawczy” i podjąć zbieranie materiałów w postaci biogramów do słownika dziennikarzy i publicystów polskich. O trwałości uchwał miał świadczyć fakt, że czterem kierownikom sekcji i dwóm biurą Ośrodka: dr. J. Lankauowi, jako sekretarzowi naukowemu, i Czesławowi Lechickiemu, jako sekretarzowi redakcji słownika przyznano miesięczne wynagrodzenie. Pierwszym kierownikiem Ośrodka (przewodniczącego kolegium) został Edmund Król; mnie powierzono redakcję słownika.

Robota ruszyła z kopyta. Jako kierownik sekcji postanowiłem skupić w niej wszystkich historyków, zwłaszcza młodszego i średniego pokolenia, skoro utytułowane miejscowe powagi zajęły wobec prasoznawstwa stanowisko wyraźnie wyczekujące. Dzięki memu założeniu referaty naukowe z dyskusją poczęły sypać się jak z rękawa i co miesiąca gromadziły przy Wiślniej coraz liczniejsze grona. Opiekunowie innych sekcji nie mieli tak ludnego zaplecza, zwłaszcza wobec obojętności profesjonalnych dziennikarzy; wytworzyła się więc rażąca niektórych z prasoznawców dysproporcja inicjatyw, a nawet jakby niechęć konkurencyjna, wyrażana wątpliwościami, czy historia prasy jest gałęzią prasoznawstwa, czy nauk historycznych. A przecież zbliżało się trzechsetlecie „Mercuriusza Polskiego” tłoczonego od 1661 r. w Krakowie przez Aleksandra Gorczyzna i jasne było, że najwięcej do powiedzenia będą mieli historycy. W tym czasie leningradzki historyk prasy radzieckiej prof. Aleksander Biereźnoj, który — jak wielu zagranicznych prasoznawców odwiedził Ośrodek — wyraźnie zaakcentował swój punkt widzenia: „Nie ma praktyki bez teorii, a teorii bez historii!”

Im żywiej toczyły się w mojej sekcji rozważania nad starszą i bliższą nam prasą i czasopiśmiennictwem — a brali w nich udział: i ceniony przedwojenny publicysta Piotr Grzegorzcyk, i wspomniany dr Lankau, i Ludwik Gocel, specjalista od druków Wielkiej Emigracji, i Józef Zieliński, zacieklej endek, i wspomniany dziennikarz warszawski Stanisław

¹ Nie spodobała się niebawem moja rola na zebraniu i powierzenie mi sekcji historii prasy Ignacemu Próchnickiemu, zresztą nieobecnemu na zebraniu (był on wcześniej kierownikiem cenzury w Krakowie, następnie doktoryzował się za lat kilka jako historyk prasy). W liście do Edmunda Króla podkreślił moją zupełną niekompetencję w powierzzonej mi dziedzinie; na ujawniony mi przez Króla list odpowiedziałem dość obfitym zestawem bibliograficznym i sprawę z miejsca uznano za bezprzedmiotową. W późniejszych kontaktach moich z dr. Próchnickim sprawa ta nie odegrała żadnej roli.

Garztecki — tym coraz częściej zadawałem sobie pytanie, co poza walorami poznawczymi może wnieść do dziennikarstwa Polski Ludowej historia prasy. Sama sytuacja prasy dyktowała odpowiedź. Dzienniki i tygodniki ogólnokulturalne (zwane często — w odróżnieniu od „magazynów” ilustrowanych — „społeczno-politycznymi”) tak zaraźliwie i niewolniczo powtarzały komunikaty agencyjne o identycznej treści, a publicystyka, początkowo żywa w „Odrodzeniu” i „Kuźnicy”, tak coraz wyraźniej chyliła się ku poziomowi narzuconej ideologii, że tradycje roboty redakcyjnej nie tylko prasy dwudziestolecia, ale nawet podległej przed pół wiekiem cenzurze zaborczej — świeciły przykładem wręcz się narzucającym. Wprawdzie pewną liberalizację w poglądach zdawała się zapowiadać w 1956 r. głośna „odwilż październikowa”, ale już po roku schematyzm, szablonowość, tzw. „drętwa mowa” natrętnie wracały na łamy gazet; broniły się przed tym nowe tygodniki literackie („Życie Literackie”, „Kultura”, nie mówiąc już o niezależnym katolickim „Tygodniku Powszechnym”).

W tym stanie rzeczy przed historykiem dziennikarstwa wyłaniało się zadanie szczególne: ujawnianie na przykładach prasy „starej”, której nowa generacja dziennikarzy z nielicznymi wyjątkami nie czytała i nie znała, śmiałości w poglądach, werwy polemicznej, wielokierunkowych zainteresowań, bogatej reporterki, a w jeszcze wyższym stopniu odważnej publicystyki politycznej, zwłaszcza z okresu już nadciągającej pierwszej „wojny powszechnej”. Osobiście pamiętałem taką prasę i taką publicystykę, aczkolwiek dopiero co opuszczałem wtedy ławy gimnazjalne. Zdawałem sobie teraz sprawę, że zanim owoce tak pojętych wysiłków w kultywowaniu przeszłości narodowej prasy dojrzeją do spożytkowania ich dla choćby niedoskonałej syntezy, rosnące z każdym rokiem młode kadry pracowników „środków masowego przekazu” — a działały już studia dziennikarskie w Krakowie i Warszawie — utoną w szlamie wulgaryzmów myślowych i języka pseudodziennikarskiego. Mimo tych niebezpieczeństw w zadanie swe nie wątpiłem i dwoma podstawowymi publikacjami zainaugurowałem próbę określenia odpowiadających nowej rzeczywistości zadań historii prasy.

Prasoznawstwo krakowskie dysponowało już dwoma periodykami, które w intencji Ośrodka winny zbliżyć kręgi dziennikarskie do prasoznawstwa. Były to: najpierw wspomniany wyżej „Biuletyn Prasoznawczy” (1957) i ukazujący się od roku następnego kwartalnik „Prasa Współczesna i Dawna” (spierano się o jego tytuł, wreszcie moja sugestia zwyciężyła). Otóż wkrótce po opisanym zebraniu przy Wiślniej zgłosiłem do „Biuletynu” rozprawę niewielką, ale po raz pierwszy poruszającą kluczowe zagadnienie: *Zadania badawcze historii prasy polskiej*². Marna

² Zagadnienie to sformułowałem po raz pierwszy już w 1951 r. w recenzji książki H. Syski pt. *Od „Kmiotka” do „Zarania”*, pomieszczonej w t. XIII „Rocz-

forma powielenia i śmiesznie niski nakład „Biuletynu” nie przysłużyły się spopularyzowaniu moich myśli. Niemniej w szeregu późniejszych teoretycznych rozważań mój właśnie punkt widzenia okazywał się słuszny, coraz więcej bowiem historycznych studiów z przeszłości naszej prasy wykazywało zgodność z moją koncepcją badań. O co więc chodziło? Otóż podkreślałem z naciskiem, że historyczna interpretacja dziennika czy czasopisma nie leży li tylko w analizie jego zawartości (w czym lubowali się wszyscy historycy literatury, od Piotra Chmielowskiego poczynając), lecz w wykrywaniu bodźców genetycznych, następnie elementów rozwojowych pisma: w ocenie kadry założycielskiej, roli cenzury, rynku czytelniczego, warunków technicznych (druk, papier, grafika) i finansowych, kolportażu. Wysuwałem więc — obok walorów informacyjnych i literackich — zagadnienia organizacji redakcji, serwisu wiadomości, honorariów autorskich itd.³

Druga rozprawa była znacznie obszerniejsza i nowatorska w piśmiennictwie historycznoprasowym: dotyczyła źródeł do dziejów prasy, ich klasyfikacji i wartości poznawczej. Temu problemowi poświęciłem jedno z zebrań dyskusyjnych. O wadze tych rozważań świadczył fakt, że rozprawa została wkrótce przełożona na język czeski, a w kilka lat potem — angielski⁴. Wiadomo, że teoretyczne rozważania nad źródłoznawstwem historycznym nawet do tak starych dziedzin historiografii, jak dzieje polityczne i ustrojowe, dały się poważnie wyprzedzić badaniom konkretnych zagadnień i zaczęły niepokoić uczonych dopiero w XIX, a u nas w XX wieku. Ale o źródła tak młodej dyscypliny, jak dzieje prasy i dziennikarstwa — poza wykorzystywaniem samych gazet i czasopism — nikt się nie troszczył. A przecież wyżej sprecyzowane przeze mnie zadania badawcze w tej dziedzinie wymagały krytycznego i bez porównania szerszego substratu dokumentacyjnego. Im więcej bowiem zagadnień, tym bogaciej rosła lista gatunków źródłowych. Obok więc źródeł narracyjnych (jak memuarystyka i różnego typu relacje) źródła organizacyjne i redakcyjne (dzienniki podawcze, korespondencja, protokoły posiedzeń, rachunkowość, rejestry nakładów itp.), akta prawne i sądowe (umowy spółek wydawniczych, akta cenzury i konfiskat, koncesje wydawnicze, protokoły procesów prasowych itd.), wreszcie materiały pozaredakcyjne, odzwierciedlające związki redakcji z tzw. dziś aktywnym pozaredakcyj-

ników Dziejów Społecznych i Gospodarczych”; ale organ ten był za specjalny, by tezy moje upowszechniły się wśród prasoznawców.

³ Artykuł ukazał się w nr. 2 „Biuletynu” (lipiec 1957); nr 1 tegoż periodyku (luty) zawierał materiały nie pochodzące z Ośrodka krakowskiego (poza informacją o jego powstaniu).

⁴ Artykuł pt. *Klasyfikacja źródeł do dziejów czasopiśmiennictwa i prasy* ukazał się w „Prasie Współczesnej i Dawnej”, 1958, nr 4. W czeskim przekładzie wyszedł w „Novinarskim Sborniku” (1963, nr 1), w angielskim w „Special Edition in English” „Zeszytów Prasoznawczych” (Kraków 1971).

nym. Specyfika tej rozległej dokumentacji i fakt, że praktyka redaktorów nawet najpoważniejszych organów bardzo często sprowadzała się do rzucania papierów redakcyjnych do kosza, w najlepszym razie do szuflad prywatnego biurka, prowadziły — w moim rozumieniu nowoczesnego prasoznawstwa — do postulatu szeroko pojętej archiwizacji akt redakcyjnych. Jej potrzeba — jako zabezpieczenie dla przyszłych historyków źródeł do poznania współczesnego nam dziennikarstwa — zrodziła nadto niedługo moją nową inicjatywę, co szerzej wyjaśnię dalej. Wydaje mi się w tym miejscu właściwsze wprowadzić czytelnika w krąg ludzi, z którymi wypadło mi w Ośrodku współpracować, a których pamięć mogłaby z latami zatrzeć się ze szkodą dla dziejów prasoznawstwa.

W początkach Ośrodka górował wśród nich nie tylko prestiżem wypróbowanego dziennikarza, ale samą posturą dr Jan Lankau. Wysoki i dość tęgi, oszczędny w słowach i ruchach, starszy ode mnie — o ile się nie mylę — chyba o lat dziesięć, znający na wylot arkana profesjonalnej żurnalistyki jako niezastąpiony do 1939 r. redaktor działowy w koncernie M. Dąbrowskiego, nieco z niedowierzaniem patrzył na świeżo upieczonych adeptów prasoznawstwa, chętnie teoretyzujących, a mniej obeznanych z zawodem. Zamiłowany w dziejach prasy staropolskiej, do której zbierał od lat źródła i wiadomości, obdarzał mnie szczególną sympatią i wspólnie ze mną wysunął koncepcję stworzenia kartoteki nieżyjących dziennikarzy i publicystów polskich, jako podstawę do lapidarnego, ale informującego pod spektakularnym kątem słownika biograficznego. Z przykładną skromnością, bo do zagadnień historycznych przystępował więcej z animuszem dziennikarza niż chłodem naukowca, oddał mi opracowanie instrukcji dla autorów przyszłych biogramów, zredagowanie kartoteki nazwisk pozostawiając Czesławowi Lechickiemu. Z Lankauem jeździłem wspólnie na konferencje w warszawskim Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich w ich miłym pałacyku przy ul. Foksal; z nim też weszliśmy do polskiego oddziału UNESCO na posiedzeniu w świeżo wzniesionym Pałacu Kultury i Nauki. Był bardzo miłym towarzyszem i miał dość rozległe znajomości w kręgach starszych dziennikarzy. Ale oczkiem w jego głowie było opracowanie i opublikowanie początków prasy staropolskiej, które traktował jako *opus vitae*. Podjęcie przez Ośrodek seryjnej „Biblioteki Wiedzy o Prasie” i zbliżające się trzechsetlecie „Merkuriuma Polskiego” urealniły to jego marzenie. To też kiedy młody redaktor Ignacy Krasicki dość szybko po E. Królu objął kierownictwo Ośrodkiem, właśnie mnie powierzył redakcję naukową gotowej monografii Lankaua i prosił o surową ocenę. Miałem robotę niebagatelną, zwłaszcza nad „Uwagami wstępnymi”, w których autor pokusił się o zdefiniowanie pojęcia gazety w duchu nowszych teorii, którym nie hołdował i których nie znał. Trzeba tu było wprowadzić niejedną korekturę i oprzeć ją na nowszym piśmiennictwie. Swoje i autora poglądy musiałem następnie uparcie bronić na kolegium redakcyjnym

„Biblioteki”, ale publikację przeparałem. Mimo że (po ukazaniu się jej) spotkały ją zarzuty niektórych krytyków, uważałem ją, wydaną pt. *Prasa staropolska na tle rozwoju prasy w Europie 1513—1729*, za dobrze wprowadzającą w świat zjawisk tak ważnych dla naszej kultury, a mało znanych. W czasie druku książki Lankau ciężko zachorował (częściowy paraliż), mówić już nie mógł i ukazania się swego dzieła doczekał się na łożu boleści⁵.

Jakże odbijał od Lankau kierownik Ośrodka i równocześnie redaktor „Dziennika Polskiego” Ignacy Krasicki. Wysoki i szczupły, ruchliwy w geście i nieskąpy w słowach, którym umiał nadać sens dowcipny i treść niezadawkową. Pochodził z autentycznego domu hrabiów galicyjskich. Nigdy się tym „klejnotem” nie przechwalał, ale sprawa była na ogół znana, choć o niej nie mówiono. Krasicki umiał w idealny sposób godzić status marksistowskiego dziennikarza z szacunkiem dla Kościoła katolickiego, zwłaszcza gdy jesienią 1960 r. delegowany przez RSW „Prasa” do Rzymu wyrósł tam na bodaj najbieglejszego znawcę polityki Watykanu i kulisów soboru. Jako kierownik Ośrodka w trudnym okresie zmian narzucanych przez warszawskie prezydium wymienionej Spółdzielni, umiał być twardy i giętki; bronił zwłaszcza mojej sekcji, wywalczał w Warszawie zgodę na „Bibliotekę Wiedzy o Prasie”, organizował narady w Ośrodku w sprawach sfinalizowania jego statutu jako placówki badawczej, a nie biura studiów dla macierzystej instytucji w stolicy. Snuł ze mną plany muzeum prasy polskiej w Krakowie, ściągał do pokoi na ul. Wiślniej zagranicznych dziennikarzy i prasoznawców. Dzięki niemu zawarłem znajomość z jowialnym prezesem Amerykańskiej Federacji Prasoznawczej i prof. uniwersytetu w Minneapolis R. Nixonem i dziennikarzami z różnych stron Europy, zwłaszcza z Georges Kayserem z Paryża, którego z żoną podejmowaliśmy obiadem w Klubie „pod Gruszką”.

Niestety, w ten żywy nurt prac Ośrodka uderzyła fala przeciwna. Z początkiem marca 1959 r. zjechała z Warszawy kilkusobowa komisja z dr. Jerzym Sawickim na czele, głośnym już wówczas ze swego udziału w procesie norymberskim. Zaczęto przeczesywać każdą sekcję z osobna i trybem quasi-inkwizytorskim „przesłuchiwać” każdego jej kierownika. W rezultacie zapowiedziano likwidację historii prasy, uzasadniając to istnieniem w Warszawie Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego, powołanej do życia przez prof. Henryka Jabłońskiego (wówczas sekretarza naukowego Polskiej Akademii Nauk), a prowadzonej przez doc. Józefa Skrzypka. W kilka miesięcy potem Krasicki wyjechał do Rzymu, gdzie ożenił się z zamożną podobno Latinoamerykanką. Kontakt nasz się urwał i ku memu żalowi już nie odnowił.

⁵ Jan Lankau stracił wszelki kontakt z Ośrodkiem w 1959 r. i zmarł w 1972. Książka jego wyszła w 1960.

Mimo wyroku prof. Sawickiego (wtrącając, że był on moim kolegą na Studium Dyplomatycznym Uniwersytetu Lwowskiego) sekcja pod moim kierunkiem funkcjonowała nadal szczególnie intensywnie. W tym czasie satysfakcję osobistą przyniosło mi powołanie z wyboru na członka AIERI w Paryżu (powiadomiono mnie o tym z końcem listopada 1959 r.)⁶. Szło wartkim prądem gromadzenie materiałów do *Słownika dziennikarzy*, głównie pod ręką Czesława Lechickiego, który w dwóch referatach przedstawił swe poglądy na prawidłową dokumentację w biografiach ludzi prasy. Materiały do słownika, zamawiane i honorowane przez Ośrodek, napływały z całej Polski; najobficiej i najbardziej rzeczowo opracowywali je: sam Lechicki, Piotr Grzegorzczuk, Stanisław Garzdecki, Michalina Grekowicz-Hausnerowa, Józef Korpała, Karol Lewicki, Franciszek German, Sylwester Dziaki. Płynęły one z różnych ośrodków dziennikarstwa: Warszawy, Poznania, Śląska, Gdańska, najliczniej oczywiście z Krakowa, gdzie zbiory biblioteczne najbardziej ułatwiały redagowanie życiorysów emigracyjnych i z kresów wschodnich. Każdy biogram ulegał kontroli i uzupełnieniom; najwięcej kłopotów przysparzały nadsyłane z Warszawy, spod pióra Zygmunta Młynarskiego, mimo iż właśnie w tym czasie wydał swój (pierwszy po wojnie) podręcznik historii naszej prasy, recenzowany przez znawców nader krytycznie. Założeniem kierownictwa słownika nie było wykańczanie gromadzonych materiałów „na ostatni guzik”, jak np. dla *Polskiego słownika biograficznego*; tej operacji miały być one poddane dopiero w fazie późniejszej, pod ręką najwytrawniejszych znawców przedmiotu. Po ubyciu Lankaua zostaliśmy przy tej robocie tylko dwaj: ja i Lechicki. Nie pozwolono nam jednak dzieła dokonać: w 1961 r. dalsze zbieranie materiałów zostało przerwane, grube ich teki powędrowały do redakcji „Zeszytów Prasoznawczych” (organ ten w 1960 r. zastąpił „Prasę Współczesną i Dawną”)⁷. Nastąpiła też po kilku latach zmiana ich redaktorów: Jana Kalkowskiego zastąpił teraz Paweł Dubiel; obaj zaprosili mnie do kolegów redakcyjnych, w których figurowałem jako jedyny historyk. Spoglądanie bowiem w przeszłość naszego dziennikarstwa nie cieszyło się, jak już wyżej napomknąłem, wielkim wzięciem młodszej generacji prasoznawców.

Ale jubileuszu pierwszego naszego dziennika w XVII w. — „Mercuriusza Polskiego” nie można było przegapić; przygotowania krakowskie posunęły się zbyt naprzód: ukazało się dzieło Lankaua, mnie poproszono o ułożenie tekstu pamiątkowej tablicy w kamienicy ongi Górczyna w Małym Rynku. Sekcja historii prasy, głównie w osobach Lankaua i mo-

⁶ AIERI jest skrótem francuskiej nazwy organizacji: Association Internationale des Etudes et Recherches sur l'Information (Międzynarodowego Stowarzyszenia Prasoznawców afiliowanego przy UNESCO).

⁷ Od 1964 r. poszczególne biogramy zaczęły się ukazywać w „Zeszytach Prasoznawczych” w wyborze i adiustacji najpierw Juliana Maślanki, następnie C. Lechickiego. I tu przerwano ich druk w 1978 r.

jej, wzięła to sobie za punkt honoru; zorganizowaliśmy w Klubie Dziennikarskim „pod Gruszką” ogólnopolską naradę, na którą zjechali nieliczni goście z Warszawy. Działali na szczęście w Ośrodku w tych pierwszych jego latach ludzie starszego pokolenia, mający wielkie zrozumienie dla historii w prasoznawstwie.

Po odejściu Lankaua pilnował jeszcze czas jakiś uporządkowania materiałów słownikowych Lechicki — postać zasługująca na kilka słów charakterystyki. Prawie mój rówieśnik i krajan, wychowanek Stanisława Łempickiego, pod którego okiem napisał i opublikował ciekawą rzecz o mecenacie w Polsce za Zygmunta III, w bliżej nie znanych mi okolicznościach związał się we Lwowie z jedną z sekt wyznaniowych, pełnił w niej nawet jakieś funkcje; u złośliwców krakowskich ściągnęło to nań epitet „sekciarskiego biskupa”. Był to umysł bystry, nieraz nadmiernie krytyczny, zwłaszcza w recenzowaniu książek cudzych, co powodowało, że nieraz wytykano mu złośliwość w dostrzeganiu nie popełnionych błędów. Redakcje krakowskich czasopism natomiast — dzięki tej ciętości pióra i szczególnej znajomości kulisów prasy Polski międzywojennej — angażowały chętnie Lechickiego właśnie do działów recenzyjnych. Na sekretarzowanie w akcji zapoczątkowania *quasi*-Plutarcha naszego dziennikarstwa nadawał się znakomicie.

Osobiste pasje badawcze miał Lechicki od przybycia do Krakowa duże: dzieje krakowskiego „Kraju”, organu miejscowego pozytywizmu redagowanego przez Ludwika Gumplowicza, a finansowanego przez Adama Sapiechę, i historię prasy katolickiej w Polsce (w czym wsparły go pieniądze Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i redakcja krakowskiego „Znaku”). Atoli kiedy monografię „Kraju” skończył i wydał dzięki także memu skromnemu poparciu w PAN — to obszernie opracowanej „prasy katolickiej” w Polsce grupa „Znaku” nie zaryzykowała jako imprezy wydawniczej. Mimo tych katolickich zainteresowań Lechicki sympatyzował z ruchem laickiego wychowania i pisał od czasu do czasu w organie ruchu pt. „Euhemer”. Wreszcie, w okresie kiedy to piszę, poświęcił swój czas, skwapliwie dzielony między Bibliotekę Jagiellońską i PAN, na dzieje Ormian w Polsce i wygłosił na ten temat, skromny zresztą w ujęciu, referat na pierwszym zjeździe Ormian w Krakowie⁸.

Znaczne zrozumienie dla historii prasy ujawniał też dr Stanisław Peters, z wykształcenia polonista i przedwojenny dziennikarz, głównie w koncernie „IKC”. Choć sam w Ośrodku patronował zagadnieniom wydawniczo-technicznym (ze szczególnym afektem do fotografii prasowej),

⁸ Władze Polski Ludowej długo, bo aż do 1980 r., nie chciały się zgodzić na założenie towarzystwa społeczno-kulturalnego Ormian w Polsce. Dopiero na kilka miesięcy przed wyznaczonym zjazdem zezwolono na Koło zainteresowań historią i kulturą Ormian w Polskim Towarzystwie Etnograficznym. Rzecz jasna, że na zjeździe przeważali lwowianie i przedstawiciele kresów.

a w Stronnictwie Demokratycznym, w którym ze mną kolegował, wygłaszał referaty o współczesnej sytuacji politycznej (wchodził wówczas w skład redakcji „Gazety Krakowskiej”) — jako człowiek światły odznaczał się szerokim poglądem na rolę dziennikarza. Utrzymywaliśmy z żoną z domem Petersów stosunki towarzyskie; jego przystojna małżonka ujmowała swą bezpośredniością i serdecznością. Niestety, śmierć jego w 1972 r. nie tylko przerwała naszą znajomość, ale tak fatalnie odbiła się na wdowie, że w kilka lat po śmierci męża popadła w ciężką depresję i chorobę. Pałeczkę prasoznawcy po ojcu ujął Lesław Peters, którego osobiście widziałem jeszcze we wczesnym dzieciństwie i później nie miałem z nim kontaktu. Słyszałem tylko, że trzykrotnie odrzucony przy egzaminie na astronomię w Uniwersytecie Jagiellońskim zrezygnował ze studiów wyższych, a mimo to oddał prasoznawstwu niemałe usługi.

Po utracie w gronie Ośrodka Jana Lankaua żniwo śmierci sprzątnęło jednego z najczynniejszych jego członków: wybijającego się socjologa Władysława Kobylańskiego. Byliśmy z sobą obaj blisko żył, mimo iż Kobylański nie należał do łatwych w rozmowie i historią prasy się nie entuzjazmował. Słuchał moich wykładów w Wyższej Szkole Nauk Społecznych, ale zarodki socjologa wszczepił weń Kazimierz Dobrowolski, najbardziej uznana sława na tym polu po wojnie. Kobylańskiego intrygowało przede wszystkim czytelnictwo gazet i w tym duchu kierował badaniami w swojej sekcji socjologicznej. Ponieważ czasy okupacji hitlerowskiej spędził najpierw w Niemczech na robotach przymusowych, następnie we Włoszech, więc ambicje jego biegły w kierunku zbliżenia naszej socjologii prasy do wzorów zachodnich. Ogłosił kilka rozpraw o czytelnictwie prasy w Krakowie, o korelacji socjologii z psychologią społeczną na polu recepcji prasy. Nagle zaskoczyła nas wszystkich tragiczna wieść o tajemniczym jego zatonięciu w Bałtyku. Brzmiała tym bardziej tajemniczo, że Kobylański był znakomitym pływakiem i działał w tym czasie — był to lipiec 1961 r. — jako ratownik morski w Łebie. Na jego pogrzebie na Cmentarzu Rakowickim ówczesna kierowniczka Ośrodka Irena Tetelowska niespodziewanie dla mnie zwróciła się z prośbą o przemówienie nad mogiłą. Nie mogłem odmówić i choć towarzyszyli w tym kondukcje liczni koledzy zmarłego z socjologii, m.in. prof. Paweł Rybicki, pożegnałem go ze wzruszeniem, podkreślając bezwzględność losu, osierocającego nasz przetrzebiony przez hitlerowców świat nauki o najlepsze młode talenty. Jakież było natomiast w kilka lat potem moje zdziwienie, gdy Irena Tetelowska życiorys Kobylańskiego zredagowany przeze mnie dla *Polskiego słownika biograficznego* tak gruntownie przerobiła, że odmówiłem jego sygnowania.

Wielkim zrozumieniem moich badań nad podstawami teoretycznymi i źródłoznawczymi historii prasy darzył mnie ówczesnie Stanisław Garztecki, starej daty dziennikarz, najpierw kijowski, następnie warszawski, którego losy wojenne rzuciły na bruk podwawelski. To nie był już tylko

towarzysz pracy (w dodatku na stałe nie zaangażowany do Ośrodka), ale prawdziwy przyjaciel. Zbliżenie i życie dwóch naszych rodzin przemieniło się rychło w wylewną kordialność i dość częste posiedzenia przy stoliku brydżowym, w częste spotkania w kawiarniach. Wszystko to zachwiało się, gdy na poczciwego staruszką spadły ciosy bezlitosne: najpierw tragiczna śmierć córki, utalentowanej kompozytorki i pianistki Jadwigi Garzdeckiej, w kilka lat potem żony. Zanim te nieszczęścia wyrwały mu z ręki pióro dziennikarskie, konsultował się u mnie niejednokrotnie o historyczne ujęcie pewnych zagadnień, na odwrót — mnie pouczał o wewnętrznym trybie redakcyjnym. Garzdecki oddał Ośrodkowi niemałe usługi, znając znakomicie język rosyjski, który w miejscowym świecie dziennikarskim był prawie zupełnie nie znany; regularnie referował zawartość prasy i książek radzieckich, nieraz występował jako tłumacz przy wizytach zagranicznych, znał bowiem prawie równie świetnie język francuski, słabiej angielski. W czasie jednego ze swych pobytów w Warszawie zmarł nagle na dworcu autobusowym; była to jakby symboliczna śmierć tego samotnika nieutrudzonego w podróżach i pracy dziennikarskiej. Straciłem w nim jednego z najbardziej oddanych przyjaciół.

W wylanianiu się na ekranie mych wspomnień sylwet bliskich mi w prasoznawstwie ludzi jedna postać spoza Krakowa domaga się natarczywie reminiscencji. Okrągła, ruchliwa, głośna na każdym konwentyklu prasoznawców — postać Mieczysława Kafła.

Ambitny i niezmordowany organizator najpierw warszawskiego Zakładu Badań Prasoznawczych, następnie Studium Dziennikarskiego w stołecznym Uniwersytecie, pojawiał się wszędzie, gdzie tylko była mowa o prasoznawstwie. I nie tylko w kraju; latający Holender naszego prasoznawstwa, przez niektórych ochrzczonego polskim ambasadorem tej dyscypliny na szerokim świecie, objechał nieomal glob cały, z wyjątkiem Dalekiego Wschodu (w planowanym wyjeździe do Japonii przeszkodziła mu grubo przedwczesna śmierć). A jeździł nie jako *simplex servus* swej dyscypliny; posługując się nie nadzwyczajnie zresztą angielszczyzną, prezydiował na konferencjach międzynarodowych, wszedł do władz AIERI, wykładał teorię prasoznawstwa w Strasburgu i stąd miał swych elewów w krajach i Afryki, i Ameryki Południowej. Podróże jego były tak częste i nieraz długie, że w niektórych okresach roku wpadał do Polski jak na urlop. A przecież tutaj dopracował się tytułu profesora nadzwyczajnego na Uniwersytecie stołecznym (w Studium Dziennikarskim). W tych właśnie jego „odwiedzinach ojczyzny” miałem z nim kontakty — przelotne, nieraz po prostu w kularach, ale nie bez znaczenia dla mych związków z prasoznawstwem. Kafel należał do tych nielicznych teoretyków, który historię prasy traktował jako nieodłączną i istotną część prasoznawstwa, przyznawał jej wysoką rolę poznawczą i kreatywną. Dał temu wyraz w swojej podstawowej książce: *Prasoznawstwo. Wstęp do*

problematyki, długo przetrawiana, bo wydaną dopiero w 1968 r. W redagowanym przez siebie trzytomowym wydawnictwie zbiorowym (pojętym jako skrypt dla adeptów żurnalistyki) pt. *Metody i techniki badawcze w prasoznawstwie* (1969) zaprosił właśnie mnie do zdefiniowania historii prasy, jej zadań, źródeł i metod badań. Dzięki więc niemu poglądy moje, wyrażone już wcześniej w szeregu rozpraw, trafiały do sal studiów dziennikarskich, czy wykładowcy sympatyzowali ze mną, czy nie. Kafel chyba pierwszy importował do naszego prasoznawstwa lapidarną formułę amerykańskiego badacza Harolda Lasswella o zadaniach prasoznawstwa. Badanie to — według Amerykanina — winno odpowiadać na pięć pytań: kto?, co?, jakim środkiem informacji?, komu? i z jakim skutkiem? przekazuje informację prasową. Formułę tę, i słusznie, powtarzał Kafel przy każdej sposobności. Odznaczał się umysłem bystrym i eklektycznym; mówił dużo (dlatego zapewne uległ rakowi gardła), pisał skąpiej, a jedną cechą osobowości imponował mi niepomierne: szybkim i ciągle zmiennym w podrózach adoptowaniem się do najrozmaitszych warunków, o czym mi nieraz opowiadał.

Tak to wśród tych prominentów naszego prasoznawstwa dobiegał ku końcowi pierwszy etap moich przygód w tej sferze myśli i działań, etap mający charakter oficjalnych kontaktów. Zanim się urwał, danym mi było dokonać w Ośrodku kilku doniosłych rzeczy mimo dość znacznych zmian i perturbacji w jego kierownictwie. Po wspomnianym wyjeździe Krasickiego do Rzymu objął je na niedługo Mieczysław Zawadka, ówczesny prezes RSW „Prasa” w Warszawie, a więc rzadko wpadający do Krakowa, następnie Irena Tetelowska. Wielokrotnie w tym czasie domagałem się na kolegiach Ośrodka wszczęcia szerszej akcji w zakresie archiwalizacji akt redakcyjnych w istniejących wydawnictwach dla zabezpieczenia ich dla przyszłych badaczy. Jako historyk miałem zupełnie odmienne od dziennikarzy pojęcie o „archiwum redakcyjnym”; oni widzieli je w podręcznej bibliotece, składnicy wycinków prasowych, ewentualnie magazynie klisz reprodukcyjnych, ja — w prawidłowym i systematycznym przechowywaniu i szkartowaniu w określonych terminach całej dokumentacji pracy redakcyjnej. Uważałem, że czas położyć kres praktyce kosza redakcyjnego; z koncepcją uregulowania tej sprawy zwróciłem się osobiście do szefa Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych w Warszawie dr. Henryka Altmana. Dr Altman w przeszłości sprzed 1939 r. publicysta i redaktor, zrozumiał wyśmienicie me stanowisko i w lutym 1961 r. zorganizował w swej siedzibie pierwsze w tej sprawie posiedzenie wybitniejszych archiwistów i kilku redaktorów. Mnie powierzył wprowadzający referat, a następnie kierownictwo specjalnej komisji dla organizacji archiwów redakcyjnych. Po dalszych pracach, a szczególnie konferencji odbytej w Archiwum m. Warszawy przy zacisznej ul. Koło w Rynku Staromiejskim, po konsultacji ze mną wydał w maju 1962 r. Zarządzenie nr 10 w sprawie oceny i przechowywania akt wydawnictw

i czasopism. Zarządzenie to zostało podane do wiadomości wszystkim archiwom państwowym, a redakcjom na łamach miesięcznika „Prasa Polska” w formie wywiadu ze mną Stanisława Garzdeckiego⁹. Ukazanie się zarządzenia, pierwszego nie tylko w polskiej, ale i zagranicznej praktyce archiwalnej, przyspieszył mój referat w lutym 1962 r. na Międzynarodowym Zjeździe Prasoznawców w Warszawie (opublikowany także w językach francuskim i rosyjskim).

Jubileuszowy ten Kongres naszej prasy w 1962 r. zgromadził w rozległych salach Pałacu Kultury i Nauki cały kwiat polskiego i obcego prasoznawstwa, oczywiście z przewagą przedstawicieli krajów socjalistycznych. W sekcji historycznej miałem możliwość odnowienia znajomości z Biereżnojem z Leningradu, poznania zaawansowanego wiekiem prof. Georgija Burszakowa z Sofii (autora obszernej historii prasy bułgarskiej), dr. Franza Knippinga z Lipska, prof. Vladimira Klimeša z Pragi, dr. Zdénka Simečka z Brna i kilku innych, z którymi związała mnie w następnych latach ożywiona korespondencja w interesujących nas sprawach. Kongres trwał trzy dni i obfitował — jak zwykle w tego rodzaju imprezach — nie tyle w odkrywcze tezy, co w kontakty różnych środowisk naukowych. Moja koncepcja archiwalizacji stanowiła zupełną nowinkę w sekcji historycznej, ale nie miała jeszcze za sobą aktu normalnego, który ukazał się dopiero za trzy miesiące.

Tymczasem mimo tego niewątpliwego sukcesu aura dla mojej roli w Ośrodku Badań Prasoznawczych pogarszała się z dnia na dzień. Kierowała nim od dłuższego czasu Irena Tetelowska, która porzuciła praktykę dziennikarską w „Gazecie Krakowskiej” dla całkowitego oddania się teorii prasy. Mimo pozornej życzliwości dla mnie traktowała historię prasy jako dyscyplinę zupełnie odrębną od prasoznawstwa i nawet próbowała zredukować moją współpracę z „Zeszytami Prasoznawczymi” co — na szczęście dla mnie — nie znalazło wsparcia w redakcji. Poza licznymi recenzjami i artykułami związanymi z jubileuszem „Merkuriuma Polskiego” rozważyłem w tym czasie na łamach „Zeszytów” kwestię dość, moim zdaniem, ważną dla rozwoju nowożytnego dziennikarstwa: oddziaływanie ruchów rewolucyjnych w Europie w pierwszej połowie XIX w. na organizacyjny i techniczny rozwój prasy zarówno zachodniej, jak i polskiej¹⁰. Dalej — mimo oficjalnego zawieszenia Sekcji Historycznej odbywały się pod moim kierownictwem comiesięczne wieczory dyskusyjne; m.in. prof. Józef Buszko mówił o walce „Naprzodu” z cenzurą, Piotr Grzegorzczak o stosunku prasy polskiej do Tolstoja, Lechicki

⁹ „Prasa Polska” z 9 IX 1962. Warto dodać, że dużą rolę w zdefiniowaniu akt podlegających „trwałemu przechowywaniu” odegrała mgr Karolina Rostocka, sekretarz Komisji.

¹⁰ Rozprawa pt. *Niektóre aspekty prasy polskiej w okresie rewolucyjnym 1794—1848* ukazała się w z. 1/2, a *Wpływ prądów rewolucyjnych na rozwój prasy europejskiej 1789—1849* w z. 4 z 1961 r.

o stanie badań nad historią czasopiśmiennictwa krakowskiego. Referaty te trwały do końca 1961 r.

W styczniu 1963 r. otrzymałem z rąk I. Tetelowskiej definitywne wypowiedzenie z prac w Ośrodku, z „gorącym zaproszeniem” do współpracy z „Zeszytami Prasoznawczymi”. Oficjalne pociągnięcie to tłumaczono zarządzeniem finansowym zarządu RSW „Prasa”, ja osobiście odczułem to jako epizod przykry, ale nie jako pożegnanie z ulubionym widnokreśliem moich zainteresowań i badań.

Tymczasem zbliżało się ważne dla dziejów Polski stulecie powstania styczniowego. Zajęty poszukiwaniami źródłowymi w tym zakresie dla Zakładu Dziejów Najnowszych w Instytucie Historii PAN i opracowywaniem scenariusza *Galicja 1863—1864* dla wielkiej wystawy warszawskiej, organizowanej przez Janusza Durkę, pozornie oddaliłem się od ul. Wiślniej i panującego tam rozgardiaszu prac i pomysłów¹¹. Ale i następne dziesięciolecie (1963—1973) dowiodło, że zgoła nie wypadłem z torowiska prasoznawczego. Wręcz przeciwnie — przyszło mi uczestniczyć w wielu imprezach, i to nieraz w wyróżniający sposób. Tymczasem na ul. Wiślniej zmieniali się ludzie; ba! zmienił się po kilku latach i lokal, kiedy Ośrodkowi przyznano dwa całe piętra w Rynku Głównym 24, nad dawną księgarnią Gebethnera i Wolffa. Nie wdając się tu w pełne personalne rozważania, pragnę zwrócić uwagę na niektóre tylko nazwiska, które w następnych latach zapisały się w annałach Ośrodka. A więc przede wszystkim: Irena Tetelowska, Paweł Dubiel, Walery Pisarek, Julian Maślanka, Sylwester Dziki, Tomasz Goban Klas. Ośrodek, pozostający coraz ściślej na usługach RSW „Prasa”, zmienił gruntownie swą strukturę.

Tetelowska stanowi swego rodzaju epokę w historii Ośrodka. Nekrolog, jakim ją pożegnali najbliżsi towarzysze pracy — a wiadomo jak tragicznie 2 kwietnia 1969 r. zginęła wraz z prof. Zenonem Klemensiewiczem w katastrofie lotniczej nad wzgórzami Makowa Podhalańskiego — wyniósł ją na wyżyny „teorii i metodologii marksistowskiego prasoznawstwa”, przyznając jej macierzyństwo „krakowskiej szkoły wiedzy o prasie”. Nie penetrowałem zagonów „ilościowej analizy zawartości prasy” czy typologii współczesnych dzienników, w których ona właśnie celowała, bym mógł mieć wyrobione zdanie o jej zasługach. Faktem jest, że właśnie w posępnym dniu jej pogrzebu w Krakowie w odległym i oblanym słońcem Monaco światowe grono prasoznawców

¹¹ Dodać muszę, że od 1962 r. przeszedłem z Zakładu Dokumentacji Instytutu Historii w Krakowie do Zakładu w Warszawie, ze stałym „delegowaniem” mnie do Krakowa, gdzie dokonywałem wymienionych poszukiwań. Choroba serca i pobyt w sanatorium w Inowrocławiu nie pozwoliły mi na osobisty udział w Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w 1963 r. w Warszawie, poświęconym powstaniu styczniowemu.

spod znaku AIERI rozpoczęła obrady nad opracowaną przez Tetelowską organizacją międzynarodowej unifikacji badań środków masowego przekazu. Ta trzydziestokilkuletnia kobieta znana była dobrze kręgom europejskich prasoznawców, ba — powołano ją nawet na przewodniczącą sekcji bibliograficznej AIERI. Jeśli chodzi o jej stosunek do mnie od początku naszej współpracy, nazwałbym go zimnym szacunkiem, niejednokrotnie — co prawda na krótko — przeradzającym się w niepoohamowane manifestacje niechęci, nawet próby odsunięcia mnie od Ośrodka (co — jak wspomniałem — stało się faktem z początkiem roku 1963). Muszę jednak przyznać, że po dwu i pół roku znowu nalegała na mnie, bym objął redakcję *Encyklopedii wiedzy o prasie*, czemu zdawali się — o dziwo! — przyklaskiwać nawet delegaci RSW „Prasa” z Warszawy. Przygotowałem referat wstępny, w którym oczywiście historii prasy wyznaczałem rolę nie tyle wiodącą, co prostującą związki i zależności genetyczne w procesie rozwojowym prasy. Ale już w kilka miesięcy po tych projektach, które nie zakończyły się żadnymi konkluzjami, Tetelowska zaatakowała mnie znowu z powodu wywiadu, jaki przeprowadził ze mną na łamach „Słowa Powszechnego” (w połowie 1966 r.) Adam Lenczowski, ba! usiłowała pozbawić mnie członkostwa w kolegium redakcyjnym „Zeszytów Prasoznawczych”. Nie pomnę już, o co jej chodziło — najostrzejszych zarzutów nie ujawniła w mej obecności; być może drażniło ją przypisanie mi przez Lenczowskiego miana współtwórcy Ośrodka. Musiałem zwrócić się o interwencję do prof. Klemensiewicza, wówczas nie tylko członka Rady Redakcyjnej „Zeszytów”, ale i przewodniczącego Rady Naukowej Ośrodka, znakomitego językoznawcy i wiceprezesa Oddziału krakowskiego PAN.

Zenon Klemensiewicz był jedynym członkiem rzeczywistym tej najwyższej instancji naukowej, który zaryzykował swój związek z prasoznawstwem, traktowanym jeszcze wówczas niedowierzająco przez areopag nauki (w roku dziesięciolecia Ośrodka, w 1966 r., było w jego Radzie Naukowej już kilku profesorów, przeważnie spoza Krakowa). Znakomity uczony, a przy tym człowiek o nieprzeciętnej kulturze towarzyskiej, autorytetem swym znakomicie wspierał Ośrodek. Przyjął mnie w Prezydium PAN niemal z wylewną życzliwością, wysłuchał ze zdziwieniem opowieści o stosunku Tetelowskiej do mnie i orientując się dobrze w mej działalności w prasoznawstwie, zapowiedział ostre wystąpienie wobec kierowniczki Ośrodka o moje stanowisko w kolegium. Istotnie pozycja moja umocniła się wyraźnie w tym gronie. Zawdzięczałem to także nowym ludziom w Ośrodku: Julianowi Maślance, Waleremu Pisarkowi, sekretarzowi Ośrodka, Edwardowi Kamińskiemu i Janowi Kalkowskiemu w „Zeszytach”. Koleżeństwo nasze nabierało z każdym rokiem coraz przyjaźniejszej ciepłoty. Zaznaczyło się to zwłaszcza w czasie kilkudniowego sympozjum polskich i czeskich prasoznawców w pokrytych śniegiem Dusznikach (luty 1964), kiedy namiętnie dysku-

towaliśmy nad najbardziej aktualnymi tematami badań nad prasą, a Kafel szczegółowo rozwodził się nad formułą Lasswella. W rok potem w tym samym niemal gronie spotkaliśmy się w Zakopanem; tu swoją niezwykłą urodą błysnęła redaktorka z Bratysławy Perla Karvašova, z którą taniec w wypoczynkowe wieczory należał do niecodziennej przyjemności. Tu poznałem bliżej — wybitnych za rok—dwa publicystów: Jacka Maziarskiego i Krzysztofa Kąkolewskiego, który zasłynął po dziesięciu latach wywiadami z głośnymi szakalami hitlerowskiego ucisku w Polsce (*Co u Pana słysząc...?*). W zakopiańskim spotkaniu problemem na porządku dziennym była głównie publicystyka i reportaż, słowem — gatunki dziennikarskie.

Ale dwie następne moje przygody prasoznawcze tchnęły jeszcze bogatszym programem spotkań. W listopadzie 1966 r. wypadło wspomniane dziesięciolecie Ośrodka Prasoznawczego, na które Polska Akademia Nauk wielkim gestem zaofiarowała swą aulę przy ul. Sławkowskiej. Pod jej auspicjami nie doceniana dyscyplina przeszła niejako chrzest popularności w opinii publicznej, a splendoru dodawała jej rola Zenona Klemensiewicza. Spotkałem się tu po raz pierwszy z prezesem AIERI Jacques Bourquin'em, eleganckim i zamożnym właścicielem jednego z koncernów prasowych w Szwajcarii; miałem sposobność korespondować z nim już wcześniej, ale teraz zadzierzgnęła się między nami bliższa niż znajomość. Bourquin wiedział, że interesuję się emigracją polską z okresu Młodej Europy, prosiłem go bowiem o pewne dane dotyczące Karola Klossa, polskiego bohatera walk o demokrację między dwoma kantonami. Dzięki Bourquin'owi dotarłem do dat biograficznych, których nie umieli mi podać rodzimi pracownicy olbrzymiej Biblioteki b. Ligi Narodów w Genewie. Nie wiem, czy z tego powodu, czy z innych witał mnie Bourquin w następnych spotkaniach mianem „poety romantyka”. Był to Europejczyk w każdym calu. Z historykami prasy z różnych kątów naszego kontynentu spotkałem się za rok w warszawskim Pałacu Staszica. Odbywał się tu pierwszy specjalnie historii prasy poświęcony kongres badaczy. Patronował mu prof. Henryk Jabłoński, a trudy organizacyjne wziął na swe barki dawny mój kolega z uniwersytetu lwowskiego prof. Józef Skrzypek. Wystąpiłem tu z inicjatorskim i niebagatelnym dla przyszłości naszego dziennikarstwa odczytem o roli naczelnego redaktora w prasie polskiej w pierwszej połowie XIX w. Uważny i życzliwy słuchacz mógł w moich wywodach dosłuchać się coś niecoś o wykształcaniu się indywidualności redaktorów, i to przed studium i wśród nieprzyjaznych stosunków politycznych i materialnych. Pisano o niektórych z tych — jak ich przeważnie wówczas nazywano — antreprenierach żurnalistyki zawsze urywkowo i *ad personam*, nie kuszając się o spektakularną charakterystykę stanowiska i roli w tworzeniu redakcji. Próbowwała polemizować ze mną Alina Słomkowska, wówczas docent Uniwersytetu Warszawskiego (jej stałym towarzyszem na wszy-

stkich imprezach prasoznawczych był jeden z najstarszych dziennikarzy warszawskich, elegancki Mieczysław Krzepakowski). Przystojna blondynka, prawdopodobnie tak niepewna była swego zdania, że przed swym wystąpieniem w kularach zebrania tłumaczyła się przede mną, iż chętnie zrezygnowałaby ze swego głosu, czemu się zdecydowanie przeciwstawiłem. Mówca drugi, utalentowany, choć młody, ale oblatany w szperaniu poloników w zbiorach Leningradu i Moskwy, doc. Mieczysław Inglot (syn Stefana, mego kolegi z seminarium Franciszka Bujaka), częściowo popierał stanowisko Słomkowskiej i równocześnie akcentował pionierskie ambicje wykrycia przeze mnie niewątpliwych prawidłowości w formowaniu się postaw redaktorskich w początkach narodowego dziennikarstwa. O co chodziło obojgu adwersarzom? O niedostateczność podstaw do precyzyjniejszych doszukiwań się jakiegś jednolitości w wykształcaniu się indywidualności redaktorskich w Polsce, podzielonej kordonami państwowymi i odmiennymi systemami administracyjnymi. Wątpliwości te byłyby słuszne, gdybym w sposób nieopatrny zmierzał do ustaleń o ambicjach syntetycznych, przed czym wyraźnie się zastrzegalem. Na omawianym zjeździe odnowiłem znajomość z oddanym mi Jugosłowianinem Ljubomirem Durkoviciem, znowu z praskim promotorem historii prasy Klimešem, poznałem się z przedstawicielem jej we Francji prof. Louis Trenardem z Lille, z Henrykiem Brühnem z Lipska.

Konferencja po dwudniowych naradach w Warszawie zakończyła się jednym dniem w Krakowie, w czasie którego w sali posiedzeń PAN wygłosiłem syntetyczny odczyt o roli Krakowa w rozwoju prasy, od jej początków do chwili obecnej.

Po tragicznym osieroceniu przez Tetelowską Ośrodka zaszły w nim poważne zmiany personalne. Kierownictwo objął dr Walery Pisarek, wierny uczeń Klemensiewicza, sekretariat po nim ujął w swe ręce dr Julian Maślanka, historyk literatury, który właśnie wykańczał swą habilitacyjną rozprawę o głośnym założycielu polskiego słowianoznawstwa Zorianie Dołędze Chodakowskim. W dziale bibliograficzno-dokumentacyjnym Ośrodka coraz szersze i pożyteczniejsze usługi świadczył skromny, ale jakże pożyteczny pracownik Sylwester Dziki, magister polonistyki. Z tymi trzema podporami Ośrodka moje stosunki koleżeńsko-towarzyskie zacieśniały się z każdym rokiem, nie mogę też oprzeć się pokusie zostawienia na tych kartach przyjaznego o nich przypomnienia. Równocześnie kontakty z prasoznawcami warszawskimi ulegały jakby zamieraniu, choćby ze względu na moje trudności podróżyowania kolejami. Jeszcze habilitacja w lutym 1970 r. Bartłomieja Golki w Studium Dziennikarskim stołecznego Uniwersytetu, w której uczestniczyłem jako recenzent jego książki o kształtowaniu się wiedzy o prasie w Polsce w XIX w., jeszcze w grudniu pierwsza konferencja w Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego w sprawie planu podręcznika dziejów naszego dziennikarstwa. Odnowił się serdeczny kontakt z młodym człon-

kiem tej Pracowni, a moim współpracownikiem w Krakowie, dr. Jerzym Myślińskim; po zgonie Józefa Skrzyпка i po swej habilitacji przed dziesięciu laty w Warszawie objął ster sprawami Pracowni, coraz rozleglejszymi i trudniejszymi. Praktycznie przyniosły mi one, a także prasoznawstwu, sporo jeszcze pożytku, ożywiły mą współpracę.

Walery Pisarek stanowi w moim spojrzeniu wstecz jedną z najciekawszych osobowości w kręgu kolegów tych czasów. Językoznawca — operował też językiem dowcipnym na różnych spotkaniach, z dużą swadą i nieraz błyskotliwością. Wprawdzie wielokrotnie twierdził, że nie ma odrębnego języka dziennikarskiego, niemniej poświęcił mu kilka publikacji o charakterze podręcznym, a także lingwistyczno-teoretycznym. Jego coraz liczniejsze podróże na wschód i zachód — od Moskwy po Stany Zjednoczone, od Skandynawii po Hiszpanię — wyrobiły w nim obrotność także w języku angielskim, a sposób bycia zbliżyły do typu anglosaskiego. Dyskretny, ale szczerze zainteresowany sprawami swych współpracowników, obeznany na wskroś z tajnikami AIERI i jego przywódcami, moją osobę otaczał ciepłą sympatią; o ile dobrze pamiętam, nie zazgrzytał nigdy akcent nieufności, z wyjątkiem może jednego przypadku dezaprobaty mego stanowiska. Kiedy przewodniczący Rady Naukowej Ośrodka i zarazem rektor Almae Matris prof. Mieczysław Karaś zwrócił się do mnie z prośbą o opinię w sprawie wniosku o podniesienie Ośrodka do rangi instytutu naukowo-branżowego, odmówiłem tej opinii, zdając sobie sprawę, że Ośrodek statutowych warunków (przede wszystkim niezbędnej kadry naukowej) nie posiada, a ujawnienie tego i innych braków mogłoby ewentualnym poparciom innych ankietowanych osób niepotrzebnie przeszkodzić. Wtedy to przez krótki okres odczuwałem w stosunku Pisarka do mnie jakby oziębienie; niebawem ta chmurka na naszym horyzoncie znikła bez śladu. Placówka zaś awansu nie osiągnęła i jeszcze przez wiele lat następnych. Dopiero o nowego samodzielnego pracownika naukowego powiększyła się niedawno dzięki habilitacji dr. Tomasza Gobana Klasa na docenta socjologii; współpraca kilku docentów i profesorów różnych dyscyplin — od literaturoznawstwa i psychologii po ekonomię i prawo, ale nie w charakterze etatowych członków — nie mogła pomóc Ośrodkowi w tym kierunku. Pisarek i mnie traktował od chwili poznania tylko jako konsultenta w sprawach historii, ewentualne elaboraty traktował jako zlecenia kontraktowe, przelotne. Niemniej Pisarkowi — acz młodszemu ode mnie o lat z okładem trzydzieści — zawdzięczałem niejedno. Przede wszystkim dość szeroką wiedzę o tym, co dzieje się w światowym prasoznawstwie, często o sprawach zakulisowych, które nie trafiały nawet na łamy „Zeszytów Prasoznawczych”. On zbliżył mnie w znaczeniu bezpośrednim do kilku zachodnich prasoznawców, m.in. do prof. Fransa Kempersa z Hagi. Młody ten uczoney w kierowanej przeze mnie Komisji Prasoznawczej PAN wygłosił instruktywny dla nas odczyt o stosunku świata dzienni-

karzy do wydawców w Holandii, w czasie kolacji zaś spędzonej we trójkę w antycznych salach Wierzyńka wiele pozaprasowych nowinek przekazał nam o swym kraju.

Pomyślałem właśnie Pisarka, a może i rzutkiego jego zastępcy w Ośrodku dr. Gobana było zwrócenie się do prezydium PAN w Krakowie o powołanie w niej do życia owej wyżej wspomnianej Komisji Prasoznawczej. Istotnie, w 1973 r., równo w stulecie założenia Akademii Umiejętności, urodziło się to nowe dziecko w łonie macierzy naszej nauki, na Polską Akademię Nauk przechrzczonej dopiero w Polsce Ludowej wbrew intencjom obrońców jej niezależności. Fakt wprowadzenia badań nad prasą w tak dostojne progi był kolejnym symptomem zmiany opinii naukowców w kwestii prasoznawstwa. Spotkał mnie w związku z tym niezwykle zaszczyt, że na pierwszym konstytuującym posiedzeniu powierzono mi przewodnictwo Komisji; o dziesięciolecie mych w niej „rządach” opowiem nieco dalej. Tu nie mogę pominąć jeszcze jednego postępu szefa Ośrodka, podjętego bez porozumienia ze mną, natomiast — jak się później dowiedziałem — w porozumieniu z Pawłem Dubielem, postępu, w którego rezultacie spotkało mnie jedno z najcenniejszych dla mnie wyróżnień: dyplom honorowy za zasługi dla dziennikarstwa polskiego ze strony Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie. Dyplom ten wręczono mi w listopadzie 1980 r. w Klubie „pod Gruszką” na walnym zebraniu krakowskiego oddziału SDP — wśród głośniego aplauzu zebranych.

Juliana Maślankę niedługo po jego habilitacji, do której droga była przedmiotem naszych niemal codziennych rozmów w „Jagiellonce” i na spacerach, porwała mi zagranicą, i to na długie lata. Ledwie Maślanka po długotrwałych wysiłkach uporał się ze zredagowaniem finalnego kształtu *Encyklopedii wiedzy o prasie*, którą mu Rada Naukowa Ośrodka powierzyła, na zaproszenie uniwersytetu w Nancy wyjechał do Francji, gdzie przez dość długi czas kierował na tamtejszej uczelni katedrą polonistyczną (Institut de Polonais), prowadził wykłady z historii literatury polskiej, seminaria nauczycielskie oraz inne zajęcia dydaktyczne. Żywy tu kult króla Stanisława sprzyjał zapewne jego pracy. Zanim to rozstanie się ze mną nastąpiło, przegadaliśmy wiele nowinek, czasem i plotek dotyczących rozwoju Ośrodka jeszcze od czasów szefostwa I. Tetelowskiej.

Relacjonował mi codziennie kłopoty z tekstami haseł nadsyłanych do mającej urodzić się *Encyklopedii* i powodującymi liczne poprawki, rekursy autorów, polemiki i rezygnacje. Odsłonił mi również Maślanka niezrozumiałe dla mnie zatargi z redakcją „Zeszytów Prasoznawczych”; bowiem kwartalnik ten, który był dotąd organem Ośrodka, wyodrębnił się zupełnie jako komórka niezależna. Z komitetu redakcyjnego przeszedłem do Rady Naukowej „Zeszytów”; był to raczej honor niż konkretne działanie: tylko raz do roku zbierali się członkowie Rady na

sprawozdania roczne, ocenę zakończonego i planowanie nowego rocznika¹². Maślanka powierzył mi dwa tylko, ale ważne artykuły w *Encyklopedii*: interpretacyjne hasło „historia prasy” i historyczne „historia prasy polskiej”; poza tym dokonałem recenzji kilku artykułów zawierających informacje historyczne. Oba moje własne artykuły wymagały dużego namysłu tak z uwagi na interpretację, jak i ograniczoną liczbę wierszy. Pierwszy musiał się zmieścić na jednej szpalcie, drugiemu przyznano ich osiem, przy czym chronologicznie zakończyłem go na 1939 r. Wiadomo, że każda definicja czy opis encyklopedyczny nasuwa wątpliwości i możliwości uzupełnień, toteż z kol. Julianem długo je dyskutowaliśmy i częściowo przeredagowywaliśmy. Że chyba zadowolili czytelników, zdaje się wskazywać fakt, iż w dość licznych omówieniach krytycznych *Encyklopedii* ostały się one bez zarzutów. Równocześnie z pracą nad zawartością *Encyklopedii* dokonałem jeszcze drugiego nie byle jakiego wysiłku. Pisarek zwrócił się do mnie z prośbą o udostępnienie prasoznawcom, ewentualnie szerszemu gronu czytelników, historii prasy powszechnej opracowanej przed 1939 r. przez doc. Władysława Wolerta, wykładowcę teorii i historii dziennikarstwa w warszawskiej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Wolert już nie żył (uległ śmiertelnemu wypadkowi na ulicy w Krakowie). Niesamowicie zniszczony wskutek pożaru Warszawy maszynopis jego dzieła zawędrował do działu rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej; wiedział o tym przyjaciel autora Piotr Grzegorzczak. Maszynopis miał swoje dzieje równie urozmaicone, jak jego autor: od bolesnych narodzin i przekształceń treściowych (początkowo rodził się jako skrypt) do trudności wydawniczych, ukrycia go w wilgotnych piwnicach bombardowanej Warszawy, odszukania wreszcie wśród gruzów. Ślady tej martyrologii: poszarpane karty i wyrwy w tekście, zawilgocenia papieru i zaniki druku i inne mogłem sam skostatować, kiedy wzięłem do ręki kilkusetstronicowy maszynopis z zatarzonymi odręcznymi poprawkami. Atoli nie tylko zewnętrzne uszkodzenia utrudniały pracę edytorską; styl Wolerta — przy całej oryginalności i szerokości jego poglądów na prasę, od prastarych epok Chin po rewolucję bolszewicką i brzaski faszyzmu — iskrzył się od błyskotliwego języka, treść od setek tytułów i nazwisk. Słowem, rzecz trzeba było prze-

¹² Paweł Dubiel uczynił z „Zeszytów Prasoznawczych” jeden z najlepiej redagowanych organów prasoznawstwa światowego; nabrałem tego przekonania, przeglądając i porównując pisma tej dyscypliny amerykańskie, niemieckie i rosyjskie. Systematyczność w układzie działów, aktualność i bogactwo informacji, przeważnie wysoki poziom poglądów, a nade wszystko ukazywanie się każdego numeru z niezwykłą punktualnością — zyskały „Zeszytom” dużą popularność, zwłaszcza w krajach socjalistycznych. Słabe uwzględnienie w nich historii (poza działem recenzji) miało swe uzasadnienie w równoczesnym ukazywaniu się organu Pracowni Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego (włączonej do Instytutu Badań Literackich w Warszawie) pt. najpierw „Rocznika Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego”, a od 1978 r. „Kwartalnika Historii Prasy Polskiej” pod red. doc. Jerzego Myślińskiego.

robić *in capite et in membris*, dodać wstęp, pominiętą przez autora bibliografię i aparat przypisów. Zajęło mi to rok czasu, kosztowało dwukrotne maszynopisanie, wreszcie także wyszukanie wielu rycin, jeśliby książka miała ukazać się w druku. W 1974 r. oddałem tekst w Ośrodku do decyzji edytorskiej. Prawie trzy lata trwały deliberacje; recenzenci — zwłaszcza A. Słomkowska, mając na względzie rodzące się w Warszawie podobne publikacje, Lechicki z uwagi na anachroniczność pewnych poglądów Wolerta — nie byli za wydaniem książkowym. Skończyło się po trzech latach na powieleniu dzieła pt. *Szkice z dziejów prasy światowej* w kilkudziesięciu egzemplarzach „do użytku wewnętrznego”¹³.

Wspomniałem wyżej przelotnie nazwisko Sylwestra Dzikiego. Nadmiernie szczupły i nie obdarzony przez naturę ani tęgim zdrowiem, ani rosłą postacią, człowiek ten parął się z nawałem pracy w Ośrodku, z energią, która wskazywałaby na siły atlety i nadzwyczajną witalność; od kilkunastu już lat prowadził z niezwykłą precyzją i dociekliwością nieodzowny w prasoznawstwie dział dokumentacji, a więc: bibliografię, archiwalizację akt Ośrodka, kroniki, informacje. Dzięki Dzikiemu prasoznawstwo polskie pierwsze zdobyło się na osiągnięcie, o które bogatsze od nas kraje zaczynają się kusić dopiero od niedawna: coroczny tom *Polskiej adnotowanej bibliografii wiedzy o środkach masowego komunikowania* (do momentu, gdy to piszę, ukazało się 14 grubych roczników). Roczniki te rejestrują możliwie pełną produkcję prasoznawczą w książkach, rozprawach i artykułach; wartość ich podnosi fakt, że opis każdej publikacji zawiera jej streszczenie, charakter publikacyjny i ocenę, wymienia ogłoszone o niej recenzje. Nie koniec na tym! Dziaki opracował również inne przewodniki o coraz bujniej rozkwitającym u nas i w świecie prasoznawstwie, bez których badacze błędziliby w gąszczu niewiedzy. Szły one w świat, znajdując słowa uznania, jak np. *Katalog czasopism prasoznawczych w świecie*, za który otrzymał specjalne gratulacje aż z... Tajwanu. Dziaki, który zaczął swoje hobby od aktualnej nekrologii i przyczynków do słownika dziennikarzy i publicystów polskich, następnie skrupulatnych kronik badań, zasiłił również „Zeszyty Prasoznawcze” szeregiem recenzji i artykułów, poświęcając i mojej osobie niejedno cenne pokłosie¹⁴.

Czas w wędrowce po moich związkach z prasoznawstwem zatrzymać się nad wspomnianym faktem objęcia przewodnictwa w Komisji Prasoz-

¹³ Ciekawej osobowości W. Wolerta i jego dorobkowi poświęciłem uwagę na jednym z pierwszych posiedzeń Komisji Prasoznawczej (1973), następnie w rozprawie pt. *Władysław Wolert i jego poglądy na dzieje prasy światowej* w „Kwartalniku Historii Prasy Polskiej”, 1980, nr 2.

¹⁴ Osobiście za najdonioślejsze jego osiągnięcie uważam ustaloną przez niego typologię prasy ogólną i szczegółową, mającą podstawowe znaczenie dla polskiego i światowego prasoznawstwa.

znawczej w siedzibie PAN przy ul. Sławkowskiej. Podejmowałem ten zaszczytny obowiązek nie bez lęku o powodzenie w zainteresowaniu świata dziennikarskiego prasoznawstwem. Dziś mogę stwierdzić, że o ile Ośrodek oddał mi w tym dziele usługi wręcz podstawowe, to zainteresowanie miejscowych redakcji zawiodło na całej linii. Z obserwacji środowiska prasowego pod Wawelem — nie tylko w Komisji, ale i w innych okolicznościach — doszedłem do generalnego i niewesołego wniosku: dla dziennikarza najwyższą wartość przedstawia tzw. wierszowe, tj. honorarium nadliczbowe poza uposażeniem w gruntownie zbiurokratyzowanej strukturze profesji. Było to jednym z najsmutniejszych moich doświadczeń z prasą trzydziestopięciolecia w kraju wyzwolonym od faszyzmu, było wielkim zawodem badacza wzlotów dziennikarstwa w czasie niewoli. Rzecz jasna, że nie ma reguły bez wyjątków: zetknąłem się z nimi i na tym terenie w osobie Krystyny Zbijewskiej, Stanisława Petersa czy prof. Stanisława Stommy. Sytuację zmieniła dopiero druga bezkrwawa polska rewolucja, dokonana przez stoczniovców Gdańska i Szczecina w 1980 r. Ale ani rozmach w wolności wypowiedzi, ani przemiany organizacyjne w dziennikarstwie nie przełamały bariery obojętności dla badań prasy ze strony tych, którzy z niej żyli.

Musiałem się z tym pogodzić, aczkolwiek z członkami Zarządu Komisji: Walerym Pisarkiem, Tomaszem Gobanem, następnie doc. Jerzym Pomorskim-Mikułowskim i prawą ręką sekretariatu Andrzejem Zagrodnikiem podejmowaliśmy nieustanne, niestety bezskuteczne próby zainteresowania redakcji. Było to dla mnie tym dziwniejsze, że problematykę comiesięcznych posiedzeń dyskusyjnych starałem się jak najbardziej urozmaicić i aktualizować. Więc poza zagadnieniami socjologicznymi i historycznymi mówiło się na nich o prawie prasowym, kształceniu dziennikarzy, ich języku i psychologii, o znakomitych publicystach. Zebrania nasze należały do najczęstszych i stosunkowo licznych w 60 komisjach PAN-owskich. Podjąłem na tej placówce jeszcze jedną imprezę, której realizacja nieustannie dręczyła moje sumienie historyka: próbę rozpoczęcia inwentaryzacji źródeł rękopiśmiennych i archiwalnych do dziejów prasy polskiej. Mój projekt i założenia wykonawcze prezydium krakowskiego Oddziału — na wniosek prof. Henryka Markiewicza — zatwierdziło w całej rozciągłości; wziąłem się bez zwlekania do roboty. Atoli przyznany fundusz wystarczył ledwie na zatrudnienie jednego pracownika: dr. Jana Bujaka, wychowanka Wincentego Danka, i tylko na jeden rok. Katastrofalna sytuacja finansowa i niesłychane ograniczenia wydawnicze Akademii, wreszcie zmajoryzowanie jej pod względem dotacji i przydziału papieru ze strony centrali warszawskiej — urwały łeb tej imprezie w samym jej zarodku¹⁵.

¹⁵ Wyjściową podstawę inwentaryzacji stanowiły zbiory rękopiśmienne w Bibliotece PAN w Krakowie. Zebrane przez Jana Bujaka karty inwentaryzacyjne

Jakby w karze za nieporzucenie historii politycznej dla prasoznawstwa los odplacił mi się niepowodzeniami także w wystąpieniach zagranicznych. Wiosną 1974 r., zaproszony przez AIERI na kongres prasoznawczy w Lipsku, pojechałem w nadziei wystąpienia na sekcji historii z postulatem selektywnej bibliografii najważniejszych źródeł i opracowań z zakresu dziejów prasy zachodnioeuropejskiej. Pod względem towarzyskim i turystycznym lipska ekskursja była bardzo udana, tym bardziej że towarzyszyła mi żona, a w międzynarodowym tłumie uczestników znaleźli się i Jacques Bourquin, i prof. Nixon, znani mi ze spotkań w Krakowie i przed rokiem w Wiedniu. Niestety poziom obrad Sekcji Historycznej, prowadzonej teraz przez młodego historyka marksistę z Uniwersytetu w Rostocku, nawracającego w historii prasy wyłącznie do analizy politycznej, stał na rażąco niskim poziomie. Dwa posiedzenia sekcji tak szczelnie wypełniły referaty o tej właśnie tendencji (jeden wygłoszony przez Węgra w fatalnej niemczyźnie), że swój projekt za pośrednictwem Klimeśa złożyć mogłem tylko na piśmie do protokołu. Niestety obserwując dalsze losy sekcji — nie doczekałem żadnych echemego pomysłu.

Z każdym rokiem moja czynna pasja do prasoznawstwa przygasiała. Podróże już nie pociągały, chodzenie po schodach, nawet do ukochanego Ośrodka, męczyło nadmiernie serce. Poczciwy Andrzej Zagrodnik musiał po mnie autem przyjeżdżać do oddalonego od centrum domu mego przy ul. Królowej Jadwigi, by zabierać mnie na posiedzenia Komisji. Podobnie tylko dzięki fiatowi prof. UJ Tomasza Weissa (autora pierwszej monografii o ludziach Zielonego Balonika) wybrałem się późną jesienią 1978 r. do Kielc, gdzie doc. Jerzy Jarowiecki z Zakładu Bibliotekoznawstwa w krakowskiej WSP i Mieczysław Adamczyk z Instytutu Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych w Kielcach zaaranżowali trzydniowe obrady nad prasą konspiracyjną w okresie okupacji i nad początkami prasy w Polsce Ludowej. Jarowiecki w licznych swych publikacjach odsłonił wszechstronnie zarówno tragiczną, jak i patriotyczną rolę tajnego przekazu informacji za rządów Hansa Franka w Polsce. Przemiej kieleckiej wycieczki nie żałowałem, tym bardziej że imprezę ulokowano w rozległym domu wczasowym na zboczu Ameliówki naprzeciw Góry Radostowej, znanej z życia i twórczości Żeromskiego. Kraina Ściagiennego odżyła w mej pamięci, a wypełniły ją pełnią wspomnień krótkie wypadki do Puszczy Jodłowej, Św. Katarzyny, wreszcie do Chęcin, gdzie w byłym kościele gotyckim, zamienionym przez carat na więzienie, a przez miejscowe władze na wytworną restaurację..., zjedliśmy dobrą kolację. W jednym z moich przemówień na zebraniu

zawierały, obok sygnatury i opisu wewnętrznego źródła, jego datę, autorstwo, adresata i krótkie streszczenie. Kilkaśet tych kart (wraz z indeksami) objęły pozycje zawarte w t. I *Katalogu rękopisów* ww. Biblioteki, wydanej w 1962 r.

plenarnym skarciłem miejscowych zwłaszcza referentów, że widzą rolę ziemi kieleckiej w polskim ruchu wolnościowym dopiero od doby postyczniowej, choć rola ta jest starsza co najmniej o lat trzydzieści w związku z powstaniem listopadowym, Stowarzyszeniem Ludu Polskiego i spiskiem ks. Ściegiennego. Pouczenia moje podkreślały ostre przeciwstawienie się wulgaryzacji historii ojczyściej i wywołały najpierw zażenowanie miejscowych propagatorów kultury, a następnie entuzjazm dla tak chwalebnej roli regionu, czemu dano aż zbyt hałaśliwy wyraz na pożegnalnym bankiecie¹⁶.

Zamykając opowieść o moich przygodach w prasoznawstwie, nie mogę nie pokusić się o odpowiedź na pytanie: czy i jakie znaczenie dla prasy Polski Ludowej miało nasze prasoznawstwo, tak żywiołowo się rozwijające. Pytał mnie o to nawet angielski socjolog prof. Barraclough, który odwiedził Kraków jeszcze w czasie mej pracy w Zakładzie Dokumentacji PAN. Oczywiście jemu odpowiedziałem inaczej, niż odpowiem teraz. W systemie narzuconego wszystkim środkiem masowego przekazu w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych „rządu dusz” prasoznawstwo praktycznie nie miało żadnego znaczenia. Otepiałym wpływom „drętwej mowy” (czy jak inni ją nazywali: „mowy-trawy”), rozbrzmiewającej i na wielkich wiecach politycznych, i na szkolnych pogadankach, nikt z dziennikarzy nie mógł położyć tamy, mimo że i społeczeństwo przyjmowało je z dezaprobatą, o ile nie ze wstrętem. Ale na bezowocnym oddziaływaniu teorii na praktykę dziennikarstwa tych straconych lat zaważyły także dwie inne okoliczności: starsze, ocalałe z pogromu okupacji kadry dziennikarzy, w swym mniemaniu, pouczeń prasoznawców nie potrzebowały, dla młodych kadr — niedokształconych w zrujnowanym szkolnictwie okupacyjnym — teoretyczne rozważania były za trudne i jakby grożące dyskwalifikacją. Tylko wybitne indywidualności publicystyczne i redaktorskie, nawet odsunięte od kierownictwa — a tych zgoła nie brakowało — zdołały od czasu do czasu przemycić na łamy gazet ożywcze poglądy.

Że talenty te istniały, dowiódł gruntowny przewrót w naszym życiu publicznym, który przyniosły wspomniane wyżej wypadki lata 1980 r.: strajki stoczniowców, dokerów, górników i hutników. Wstrząsnęły one sumieniem rządzących i zmobilizowały całą społeczność kulturalnie twórczą do przeobrażeń prawnych i moralnych przekazu prawdy. I ta burza odsłoniła jakby nagle, ale z uderzającą jasnością, wartości prasoznawstwa dla dziennikarstwa. Redagowanie gazet i innych periodyków wkroczyło na drogę wielu przeobrażeń, które przewidywało i postulowało prasoznawstwo. Na czoło wysunął się postulat zaspokajania kon-

¹⁶ Przemówienie moje pt. *Historyk prasy wobec problemu tajnej prasy* przedrukowano w księdze referatów i głosów w dyskusji, wydanej w 1979 r. pt. *Polska prasa konspiracyjna lat 1939—1945 i początki prasy w Polsce Ludowej*.

sumenta prasy prawdą, na którą czeka, i informacją, która zapłodni jego pracę i da mu głębszy oddech. Dziennikarz, o którego prawo do swobodnego dostępu do źródła poznania rzeczywistości walczyły w szeregu artykułów, zwłaszcza Bogdana Michalskiego czy Jerzego Parzyńskiego, „Zeszyty Prasoznawcze”, o którego etykę zawodową upominał się w każdym numerze tego organu redaktor Paweł Dubiel — wkraczał teraz w krąg swoich zadań z otwartą przyłbicą. Postulowana przez prasoznawców, a utrudniana w kompromitujących czynniki rządzące sprawach krytyka publiczna urosła teraz do rzędu kardynalnego obowiązku. Programy reformy kształcenia młodych kadr stały się nakazem bezspornym, a podstawy tych programów zrodziły się właśnie w teorii służby dziennikarskiej i w roztrząsaniach dziejów naszej prasy. Wreszcie wypracowana z mojej inspiracji i inicjatywy Ośrodka archiwalizacja dokumentacji redakcyjno-wydawniczej stworzy — być może — pewniejszy grunt dla przyszłych badaczy.

Zapytuję z kolei sam siebie, co jako historyk prasy wniosłem do jej odnowy, na szczęście nie tłumiony w mej pracy tak, jak czynny dziennikarz?

W swych wypowiedziach w słowie i druku podkreślałem z niezmiennym naciskiem wychowawczą rolę historii prasy, zarówno jej świetnych tradycji, jak i niedostatków i błędów, wspaniała w dobie niewoli publicystykę przy nikłej do połowy XIX w. stronie informacyjnej gazet. Jako badacz postępowałem chyba dość systematycznie. Najpierw więc sprecyzowałem cele badania prasy w przeszłości, następnie snułem rozważania nad typologią dawnych źródeł dla tych badań, by w końcu wysunąć postulat bodaj w skromnym zakresie archiwalizacji nowych. Niewątpliwie moje poglądy dawały zarys ledwie inicjatorski i w niejednym niedoskonały. Ale wierny własnym drogowskazom, pod koniec życia wyzyskując przez długie lata nagromadzone materiały — odważyłem się na swój śpiew łabędzi w postaci studiów porównawczych z zakresu kluczowych zagadnień najstarszego okresu prasy galicyjskiej, głównie więc Lwowa i Krakowa¹⁷. Spłaciłem w tej książce bodaj w skromnym zakresie dług wobec dwóch miast, które roznieciły we mnie święty płomień badań przeszłości, podtrzymywały go w czas kolejnych wojen, w końcu nadały mu cechy trwałości i rozbłysków myśli. Nie do mnie należy ocena tego osiągnięcia. Ci, co je ocenili w kraju i poza nim, legitymowali książkę jako wprowadzenie do dziejów prasy nowego na nią spojrzenia — porównawczego i wielofunkcjonalnego.

¹⁷ *Prasa Galicji i Rzeczypospolitej Krakowskiej 1771—1850. Studia porównawcze*, Kraków 1979.